Rok XI. Kraków, 1. marca 1908 r. Nr. 5.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.
Kwartalnie z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki, 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Zacisze 7. Telefonu Nr. 479.

Numer pojedynczy 40 halerzv. 20 kop. Główny skład na Królestwo: Warszawa, Biuro G. Ungra, Aleje Jerozolimskie 78.



Fertyczna subretka
Odwiedza panicza

Umizgom panicza
Dziewczyna jest rada,

Zaledwie rok liczy
Dwudziesty i czwarty

Codziennie mu zrana
Przynosi śniadanie

I panicz przy lubej
Śni jakby w malignie,

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Spotkał Maciek swoją Kaśkę
W dzień powszedni rano,
Uczesaną i umytą
I pięknie ubraną.

Włosy masłem pomazane
A buciska łojem —
„*Kaz wandrujes* ty dziewucho
Spytał z niepokojem.

Zrazu dziewka mu nie dała
Żadnej odpowiedzi,
Aż po chwili rzekła cicho:
„Idę do spowiedzi!"

— „Do spowiedzi? — chłop zawołał
Z rozpaczliwym giestem
Moja Kasiu! ty wiesz o tem,
Że niewinny jestem!"

A dziewczyna chłopa mierzy
Wzrokiem pogardliwie,
— „Że ci może przyjść to do łba
To się tylko dziwię!

To, z czego się mam spowiadać
Na innym się skrupi,
Ty mój Maćku na te rzeczy
Jesteś straśnie głupi!..."

Chat-Noir.

* Nasza arystokracya.

Zdzisław Gerard dw. im. hrabia Krzywda-Końskowolski zdaje jako eksternista maturę w gimnazyum św. Anny. Profesor literatury polskiej nadarmo się sili wydobyć z kandydata kilka szczegółów z młodości Słowackiego, mianowicie, jakieto osoby w pierwszym rzędzie wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się charakteru młodego Słowackiego? Wreszcie, po wielu trudach, wymienił kandydat ojca Słowackiego.

— Dobrze! — rzecze profesor. — A może jaka kobieta z najbliższego otoczenia poety umoralniająco na niego wpływała? - pytał dalej cierpliwy profesor, chcąc kandydata naprowadzić jeszcze na matkę Słowackiego.

— Aha! Już wiem! — mówi nasz domorosły arystokrata. — *Francuska guwernantka..*

Przebiegły.

— Powiedz mi, hrabio, w jaki sposób zdołałeś dowiedzieć się o prawdziwym wieku tej małej Fifi?

— Poprostu zwróciłem się wprost do niej i obiecałem jej w dniu jej urodzin za każdą wiosnę jedną stówkę.

Notatka znaleziona

między magistratem a domem Larysza.

Konopiński... zaspokojony
(delegatura do Rady Szkolnej).

Guńkiewicz... zaspokojony
(w Kasie Oszczędności).

Bandrowski... da mu się mandat.

Doboszyński... największy kłopot
(dużo żąda, blamaż gotów...).

Klemensiewicz... zrobi go się jakimś honorowym prezesem.

Maciołowski... jakiś drobiazg dać mu trzeba.

Nowak... ditto.

Sołtysik... O nic się nie stara
(takich więcej!).

Turski... poprzestanie na kadzidle
(pęcherz!).

„Nasi" kandydaci.

(Notatka).

Jeszcze nieprzechrzczeni: Sare, Kolischer, Dattner, Gross, Landau.

Już przechrzczeni: Maryewski, Pastor, Ulanowski, Fedorowicz.

Życiorys dra Germana.

Od 16—25 roku był radykałem, socyalistą.
Od 25—30 roku był liberałem.
Od 30—55 roku był stańczykiem, reakcyonistą.
W 55 roku życia został emerytem i narodowym demokratą. I co wy na to?

Zapytania.

Gazety lwowskie donoszą, że znany fabrykant baniek mydlanych, pan baron Gwido de Santa Franta Battaglia został honorowym konsulem włoskim we Lwowie. Poprzednik jego p. Liehman brał pensyę, a pan baron zrzekł się jej, aby mieć tylko sam honor. Czyby nie było lepiej, aby pan baron brał pensyę włoską, a zrzekł się kolosalnego na nasze stosunki wynagrodzenia, jakie pobiera jako prezes Ligi niemocy przemysłowej?

* * *

Gdzie się podział i czy wogóle istnieje jeszcze poseł Sikorski?

* * *

Czy p. Perlmutter, który czy która agituje za bezpłciowem głosowaniem, jest mężczyzną czy kobietą? A może to istota... bezpłciowa?

DOBRY MĄŻ.

Pan Adolf nie wymaga
Zaszczytów ani chwały,
Natomiast jest o własne
Potomstwo nader dbały.

Od czasu jego ślubu
Rok mija ledwie trzeci,
A państwo Adolfostwo
Już dwoje mają dzieci.

Lecz dzieci mieć — nie sztuka!
(Nieprawdaż moje panie?)
Wyżywić je i okryć
Trudniejsze jest zadanie!

Pan Adolf powinności
Ojcowskie znał wogóle
I — kupił sztukę płótna
Dla dzieci na koszule.

Tak tedy swej miłości
Dokument złożył świeży
A żona z rozrzewnieniem
Na metry płótno mierzy.

I rzecze: „Gdy uwagę
Uczynić się ośmielę
To na dzieciaków *dwoje*
Jest płótna tu za wiele!"

Wzorowy zaś małżonek
Rzekł z miną rezolutną:
„Postaram się, by zużyć
I pozostałe płótno!..."

Amaris.

* Lucidum intervallum.

Przy łożu nieprzytomnego pacyenta pyta lekarz stroskanej małżonki jego:

— Kiedy chory po raz ostatni odzyskał przytomność?

Żona (płacząc): Przed godziną! Powiedział wtedy... że... że... pan konsyliarz na niczem się nie rozumie... i pod żadnym warunkiem nie chciał zażyć lekarstwa, które mu pan doktór zapisał...

Między baletniczkami.

— Słuchajcie! — dyrektor powiedział, że każdą nieprzyzwoitą kobietę ze swego teatru oddali.

— Chciałabym to widzieć, jak on do przedstawień będzie samych mężczyzn używał.

* Między przyjaciółkami.

Pierwsza: Czy mąż pani jest numizmatykiem?
Druga: Nie, proszę pani! On jest *astmatykiem.*

Roztargniony.

Jestem bardzo roztargniony. Wada ta przeszła u mnie w stan chroniczno-chorobowy, a skutki jej — z jednego dnia — opiszę Wam pokrótce byście się jak ognia roztargnienia wystrzegali.

Poszedłem w wieczór Sylwestrowy do Drobnera i jako chudopachołek galicyjski kazałem sobie podać ćwiartkę cienkiego austryaka. Przy tym samym stole siedział jakiś pan przy flaszce szampana. Mój sąsiad musiał z jakiejś przyczyny na chwilę od stołu odejść, a ja tymczasem w roztargnieniu wypiłem jego wino. Przedstawcie sobie, proszę, jego minę po powrocie! Naturalnie musiałem natychmiast kazać podać inną flaszkę szampana. To był dopiero początek. Wreszcie wypiłem mojego sikonia, wstaję od stołu, grzecznie się kłaniam i chcę odejść, aż tu przypada do mnie płatniczy i prezentuje mi rachunek na 15 koron z halerzami. Prędko sięgam do kieszeni i niestety spostrzegam, że w roztargnieniu zapomniałem portmonetki w domu. Proponuję więc kelnerowi na zastaw palto — *nolens-volens* się zgadza. Biorę tedy pierwsze lepsze palto z wieszadła i wręczam go kelnerowi — aliści łapie mnie za rękę jakiś facet i oświadcza, że to palto jest jego. Przyglądam się bliżej — rzeczywiście tak było. Szukam tedy mojego palta, lecz nadaremnie. Nagle przypominam sobie, że właściwie wcale płaszcza nie posiadam, gdyż przed dwoma dniami egzekutor mi go zabrał. Goście zaczęli się przy stolikach oglądać, szemrać, sykać, tak, że płatniczy, dla uniknięcia skandalu, grzecznie, ale stanowczo mnie wyprosił, z tem, bym nigdy więcej, do tego lokalu nie przychodził. Zabrałem mój kapelusz i z godnością wyszedłem.

Po drodze spotyka mnie mój przyjaciel i pyta zdziwiony, skąd ja przychodzę do tak eleganckiego cylindra? Zdejmuję moje nakrycie z głowy i rzeczywiście przekonuję się, że zamiast mojego zniszczonego miękiego kapelusza, zabrałem w roztargnieniu nowiusieńki cylinder. Prędko zawróciłem, aby cylinder prawnemu właścicielowi oddać, lecz w tem nagle przypomniałem sobie, że mam wstęp do tego lokalu wzbroniony. Serce mi się krwawiło, ale ostatecznie musiałem zostać przy paryskim cylindrze, w którym mi zresztą było zupełnie do twarzy. W roztargnieniu spacerowałem jeszcze parę godzin po mieście, wreście zacząłem szukać drogi do domu. O północy znalazłem wreszcie dom. Ponieważ nie posiadam klucza od bramy, zadzwonić musiałem na stróża. Naturalnie zażądał szóstki „za bramę"". Ponieważ nie miałem drobnych przy sobie, poprosiłem go, by chwileczkę zaczekał, aż wyniosę pieniądze z mieszkania. Po ciemku winduję się na trzecie piętro — drzwi mojego mieszkania były niezamknięte, więc cicho wchodzę. Macam rękami na wszystkie strony i dostaję się wreszcie do mojego łóżka. Przedstawcie sobie państwo mój strach, gdy ręce moje natrafiły na coś ciepłego... mięko-twardego...

— Złodzieje! Złodzieje! — ryknąłem strasznym głosem, lecz tu nagle wyskakuje z łóżka jakaś postać w długiej, białej koszuli i drże się cienkim sopranem:

— Na pomoc! Rozbójnicy! Mordercy!...

Chwytam obcą postać za gardło, ona wpija się pazurkami w moje ramię i tak przez chwilę się mocujemy. Wreszcie, zwabiony krzykiem, zjawia się na progu gospodarz domu w negliżu, w jednej ręce trzyma świecę, a w drugiej jakąś zardzewiałą szablę.

— Gdzie są złodzieje? — zapytał groźnie szabliskiem wywijając...

— Tutaj go mam! — odpowiedziałem.

— To jest złodziej! — piszczała owa postać...

Wtedy zwraca się gospodarz do mnie i surowo pyta:

— Co pan tu robi o tej porze?

— Panie! wrzasnąłem — Czy mnie pan nie zna, czy też znać nie chce? Czyż nie mieszkam w tym pokoju od trzech miesięcy?

— Do dzisiejszego rana — rzecze gospodarz — mieszkałeś pan tutaj, to prawda! Ale ponieważ

HURAGAN W KRAKOWIE.

Straszna burza rozszalała
Niedawno nad miastem
Z piorunami i grzmotami,
Ciężkich chmur balastem.

Wicher niebywałej siły
W wściekłej zawierusze
Pannom zrywał nagle kiecki,
Panom — kapelusze.

Wicher figlarz powyrabiał
Dość ucieszne zbytki,
Demaskował nam łysiny
A panienkom łydki.

Dzieci, które szły do szkoły
Przewracał na ziemię,
Demolował wszystko, choćby
Jak najcięższe brzemię.

Ale mało tego było,
Bo burza w Krakowie
Różnym naszym wielkim ludziom
Pomięszała w głowie.

Wicher wpadł do Akademii
Do głowy Prezesa,
I rozpoczął tam wyrabiać
Przeróżne ekscessa.

I chociaż miał do czynienia
Z figurą uczoną,
Głową wszedł a wnet wyleciał
Wprost przeciwną stroną.

Do Uniwersytetu potem
Wleciał póki pora
I zaglądnął w mózg pewnego
Pana profesora.

I tak hulał, nie zważając
Na wysokość szarży,
Że profesor do dziś jeszcze
Na wiatry się skarży.

Widząc, że się przed nim ludzie
Do swych domów garną
Wicher w krótki czas odwiedził
Strażnicę pożarną.

Skonstatował, że się w głowie
Nowotnego pali
Wzniecił jeszcze większy pożar
I poleciał dalej.

Wreście w kieszeń humorysty
Wleciał z miną butną
Lecz na szczęście, że tam znalazł
Same tylko płótno!...

Bocian.

Bez wyjścia.

Przed sędzią prowadzącym sprawy rozwodowe, zjawia się w oznaczonym na pierwsze przesłuchanie terminie małżeństwo Niezgodniccy.

— Zanim wyrok rozwiązujący małżeństwo wydanym zostanie — przemawia sędzia — muszą być przedewszystkiem sprawy familijne ułożone. Czy pan, panie Niezgodnicki, chcesz zatrzymać dzieci przy sobie?

— Tak, to jest właściwie tylko połowę.

— A pani? zwraca się sędzia do Niezgodnickiej.

— Ja także połowę.

— A więc bylibyśmy co do tego w porządku. A ileż dzieci macie państwo?

— Pięcioro.

— W takim razie proszę iść do domu i zastanowić się nad podziałem. Tymczasem może się państwo pogodzicie i nie będzie potrzeba rozwodu.

Po długim, długim czasie zjawiają się znowu małżonkowie Niezgodniccy przed tym samym sędzią.

— No zdaje się, żeście się państwo pogodzili? — pyta sędzia.

— O nie, panie sędzio! — woła małżonek — rozwód musi być! Tymczasem ale mieliśmy wizytę bociana.

— No to przynajmniej ułatwia porozumienie się co do podziału dzieci. Teraz zatrzymasz pan troje i pani troje“.

„Kiedy to znowu niemożliwe, panie sędzio — mówi zmartwiony małżonek — bo niech pan sędzia pomyśli, ta kobieta powiła tym razem b l i ź n i a k i!

* Reforma szkół średnich.

W salonie mecenasów G. zbiera się co czwartek „śmietanka“ naszego towarzystwa — nie gwoli pobożnemu obgadywaniu kochanych bliźnich — broń Boże! — lecz celem poważnego dyskutowania nad bieżącemi sprawami, obchodzącemi ogół. Ubiegłego czwartku była na porządku dziennym kwestya reformy planu nauk w gimnazyach. Pani domu gorąco występowała za zniesieniem greki. Obecny tam profesor filologii M., znany z ciętego dowcipu, dowodził konieczności dalszego zatrzymania greki, jako przedmiotu obowiązkowego, a swoje zapatrywanie poparł następującym silnym argumentem:

— Bo proszę państwa! Jakim sposobem mogłaby nasza młodzież zrozumieć takie doniosłe wypadki, jak naprzykład proces Moltke-Harden, gdyby nie była obznajomioną z Sokratesem i jego szkołą...

Ostrożny.

Mąż do żony ubierającej się na bal:

— A proszę cię — moja droga — nie flirtuj znów dziś zanadto z tym nadporucznikiem, bo wiesz, jak *mój szef* tego nie lubi.

* Na razie nie wiadomo...

Na plantach spotyka pan X. śliczną, zdrową dziewczynę wiejską z dzieckiem na ręku. Ponieważ mu się bardzo spodobała, więc chcąc zawiązać z nią znajomość, przystępuje do niej i pyta:

— Jakie ładne dziecko! A jak się nazywa?

— Jesce nie wiem, prose pana! — mówi tęga Marysia, szczerząc zęby w zdrowym uśmiechu. — *Bo dopiro pojutrze bedzie rozprawa w sondzie...*

* Przy egzaminie państwowym.

Rzecz dzieje się w pięknym budynku Collegii novi przy plantach. Piękny, upalny dzień czerwcowy. W sali egzaminacyjnej kilku wyfraczonych, bladych młodzieńców czeka na zjawienie się komisyi egzaminacyjnej. Areopag uczonych wchodzi — drżący młodzieńcy zajmują swoje miejsca i nerwowo zaczynają skubać frendzle zielonego sukna, okrywającego stół egzaminacyjny. Egzaminator, po chwili namysłu, która kandydatom wiekiem się zdała, zadaje wreszcie pierwszemu pytanie:

— Co to jest *dolus?*

W tej chwili zaczyna na plantach orkiestra wojskowa grać skocznego walczyka. Przez otwarte okna wpada słodka melodya i odbija się o głowę zakłopotanego kandydata, który napróżno sili się wykombinować, co to właściwie jest ten *dolus!* Przykra pauza — tylko muzyka tak ładnie gra — wreszcie egzaminator zaczyna się niecierpliwić:

— Ależ panie kandydacie! Wszak to rzecz zasadnicza! Więc nie wiesz pan, co to jest?

— To? Ależ wiem panie profesorze! — mówi kandydat rozpromieniony. — To... to jest walc z „Wesołej wdówki“...

* Także przyczyna.

Szef (z wściekłością): Jakto! Więc równocześnie utrzymywałeś pan stosunek z moją żoną i moją córką?

Buchalter: Naturalnie... przecież ja jestem do „podwójnej“ buchalteryi...

* To złe — i to nie dobre!

A. Ożeniłem się z moją gospodynią i nie mam teraz kochanki!

B. Lepiej wyszedłeś na tem odemnie! Ja ożeniłem się z moją kochanką — i nie mam teraz gospodyni!..

NASZE DZIECI.

Kazio, chłopczyk ośmioletni
Z sześcioletnią Halą
Stosunkami domowemi
Nawzajem się chwalą.

Hala mówi, że ma bonę
Już tygodnie cztery,
Z którą codzień przedpołudniem
Chodzi na spacery.

— A ja znowu — rzecze Kazio,
Mam starszego brata,
Który z naszą pokojówką
Po spacerach lata.

Na to mówi mała Hala:
— Wiesz, że moja mama,
Chociaż jest już taka duża
Nie wychodzi sama!

Ale zawsze na przechadzkę
Idzie z nią i tato,
A wracają dosyć późno —
Cóż ty powiesz na to?

Moja mama — rzecze Kazio —
Chodzi z jednym panem,
A gdy taty w domu nie ma —
Przychodzą nad ranem.

— Moja lepiej! — krzyknie Hala,
A ja się nie chwalę,
Jak raz poszła z oficerem,
Nie wróciła wcale...

Amaris.

nie zapłaciłeś przez całe trzy miesiące ani halerza czynszu, byłem zmuszony pana dzisiaj wyrzucić...

Teraz dopiero zaczęło mi się w głowie rozjaśniać! Tam do dyabła! Wszak w południe wynająłem nowe mieszkanie! Poprosiłem o wybaczenie za ten nocny najazd i wyniosłem się. Stróża również chciałem pocieszyć, że „drugą razą“ dam, ale ten gbur widocznie nie wierzył, bo złapał mnie za kark i wcale niedelikatnie, klnąc ordynarnie, wypchnął na ulicę i ze złością zatrzasnął bramę. Co teraz robić? W roztargnieniu zapomniałem ulicy i numeru domu mojego nowego mieszkania!

Na chybił trafił poszedłem w jakąś uliczkę i do pierwszego z brzegu domu zadzwoniłem. Natychmiast otworzyło się na pierwszem piętrze okno i jakiś luby głosik kobiecy zapytał:

— Czy to ty, Alfredzie?

— Tak, to ja! — odrzekłem możliwie najczulszym szeptem.

— Jutro po południu koło bramy Floryańskiej! Mój mąż na kilka dni wyjeżdża! Dobrze? Aha! Tu masz twój portfel, który wczoraj zapomniałeś! Do widzenia!

Portfel upadł tuż przedemną. Był solidnie banknotami zapełniony. Schowałem go czemprędzej.

— Jesteś pan aresztowany! W imieniu prawa! Oglądam się, za mną stoi patrol a ajent policyjny kładzie mi swą łapkę na ramieniu.

— Jak się pan nazywa? — pyta inspektor. Wymieniam moje nazwisko.

— Czy może się pan wylegitymować?

— Z przyjemnością! — rzeknę i wyjmuję portfel dopiero co otrzymany i wręczam go władzy.

Zaprowadzono mnie na inspekcyę i dalejże śledztwo prowadzić. Dopiero po dłuższym czasie wyjaśniła się sprawa z portfelem. Puszczono mnie. Gdzie spędziłem noc, nie potrafię tego powiedzieć — tyle tylko wiem, że na drugi dzień, gdym sięgnął do kieszeni po chustkę do nosa, znalazłem zamiast niej... czepek i pończochę damską... Może państwo wiecie, czyje są te *meble*, bo ja dalibóg nie mam pojęcia!... Oto są skutki roztargnienia!... Strzeżcie się tej wady, jak ognia!...

Persico.

PROTEKCYA.

Co to znaczy dziś protekcya
Z tej powiastki przykład weźcie:
Pewna wielka instytucya
Była w pewnem małem mieście.

Pan nadradca, gruba ryba
Stał w urzędzie tym na czele
Miał pod sobą różnej rangi
Urzędników bardzo wiele.

Między nimi był też jeden
Zdolny, ale nie bez „ale“
Miał w karyerze swojej pecha:
Awans go omijał stale.

Człowiek młody, już żonaty
Drugi rok i miesiąc trzeci
Jeszcze całe jego szczęście,
Że mu Pan Bóg nie dał dzieci.

Przełożeni sprawiedliwi
Dziś na świecie bardzo rzadcy
Żona więc postanowiła
Sama prosić pana radcy

Aby przeniósł go z awansem
Może do innego grodu
Bo tu — woła biedna z płaczem
Przymierają nieraz z głodu.

— „Hm! hm! — mruknął pan nadradca
Tu poradzić nie jest łatwo
Awans możnaby sforsować
Gdyby był obarczon dziatwą.

Ale tak?!... Nie macie dzieci
Pomódz tu nie jestem w stanie!“
A po chwili rzekł łagodnie:
„Niech no pani tu zostanie!“

I została u nadradcy
Ta poczciwa kobiecina
A akurat w trzy kwartały
Małżonkowi dała syna.

Teraz już więc do awansu
Na przeszkodzie nic nie stało
Urzędnika przeniesiono
Dając gażę mu wspaniałą.

Przed odjazdem był urzędnik
I ponawiał zapewnienia,
Że jedynie panu radcy
Wszystko ma do zawdzięczenia.

Radca się jak rak zczerwienił
Lecz zmięszanie ukrył siłą
I wyjąkał tylko tyle:
„Bardzo mi przyjemnie było!“

Chat-Noir.

Bojkot Prusaków.

Panna Mańka z ulicy Berka Joselowicza nie przyjęła 2 marek pruskich, ofiarowanych jej za pewną grzeczność przez jakiegoś berlińskiego agenta, lecz kazała sobie zapłacić 4 korony austryacką monetą.

* * *

Pan Józef K., znany feminista z oburzeniem odrzucił Johimbin, pruski preparat na wzmocnienie sił i sprowadził sobie krajowy kolbuszowski środek domowy.

* * *

Dyrekcya teatru krakowskiego postanowiła nie wystawiać sztuk Schillera, Hauptmana i Sudermana a natomiast zasilać repertoar sztukami w rodzaju „Męża męczennika“.

* * *

Exposeł Doboszyński zrywa wszystkie stosunki z pruskimi baronami, ograniczając się do operacyi z markizami francuskimi.

Preludyum.

— Jesteś pan przesądnym?
— Ani trochę.
— W takim razie, bądź pan tak dobrym pożyczyć mi *13 blatów*!

PRZYGODA PODLOTKA W ZASYPANYM POCIĄGU.

(List Kazi do Mani).

I.

Zima ma powaby swoje
Nikt nie przeczył i nie przeczy
Bo są pączki, flirt, ślizgawka
I przyjemne inne rzeczy.

Wprawdzie w zimie rzadko bywa
Chlapawica i czas brzydki,
By — z słusznością — że tak powiem
Pokazywać można łydki

Ale jest rekompenzata
Wiatr jest nieraz Bogu dzięki,
Co bez naszej interwencyi
Sam podnosi nam sukienki.

Mój brat też to *utrzymuje*
(A pros pos — kochana Maniu!
Czy też wiesz, że mój brat jakąś
Małpę ma na *utrzymaniu?!).*

Lecz niech zacznę rzecz *ab ovo*
Jak Rzymianin rzekł: „od jajka!“...
Dziwna była to przygoda,
Fantastyczna, niczem bajka!...

W Jaśle mamy jedną ciotkę
Ciotka ma zaś jedną córkę
A biedaczka przeszła właśnie
Dość pikantną awanturkę.

Więc ją ciotka za mąż wypchnąć
Chce przed tygodniami trzema
(Bo się lajtnant żenić nie chce,
I po wtóre — kaucyi nie ma!).

Więc wydała ciotka balik
I sprosiła dużo gości
No i nas też zaprosiła
Przy tej samej sposobności.

II.

Wepchaliśmy się do coupée
(Oczywiście trzeciej klasy) —
Matka wzięła trochę bułek
I krakowskiej funt kiełbasy.

Jeden pled i dwie poduszki
I podróżny urynalik
I tak: ojciec, ja i matka
Jedziem na ten sławny balik.

Ciasno było jakby w beczce
W której gniotą marynatę
Więc ja w kącik się wsunęłam
Mama zaś się pcha na tatę.

Jak u panien z lepszych domów
Jest przyjęte w Europie
Jakieś męskie indywiduum
Ja vis à vis znowu kopię.

Dzięki Bogu wszyscy chrapią
Nagle coś pociągiem wstrząsa
I coś nagle leci na mnie
I — męskiego czuję wąsa.

Mama, która obok taty
Jak w bezpiecznej jest ostoi,
I do piersi mu się tuli,
Krzykła nagle: „Stoi! stoi!“

Tato, krzykiem tym zbudzony
Gębę zatkał jej poduszką
I rzekł jeszcze na pół śpiący:
„Zdaje ci się moja duszko!“

Równocześnie gasną światła,
Ciemno w coupée, jakby w grobie
Matka krzyczy: „Pociąg stanął!
Drogi mężu! wystaw sobie!“

Wrzask, harmider się podnosi
Słychać krzyki: „Ratuj! rany!“
W rezultacie: pociąg w biegu
Został śniegiem zasypany!...

Wnet wbiegają ratownicy,
Czy się komu co nie stało?
Ach! zemdlała biedna mama,
Tato też nie wyszedł cało!

Coś tam sobie zgniótł, czy złamał
Bo ma słabe zdrowie swoje
Więc z wagonu ratownicy
Wytaszczyli ich oboje.

I ja tylko jedna w coupée
Od rodziców zapomniana
Z mojem męskiem *indywiduum*
Pozostałam aż do rana.

A gdy pociąg odkopali
Strasznie mnie bolała głowa,
No i zamiast na ten balik
Powróciłam — do Krakowa.

W domu byli już rodzice...
Ojciec leży w łóżku blady
A poczciwa moja mama
Z lodu robi mu okłady.

Tato zasnął. Ja oświadczyć
Muszę teraz mej mamusi,
Że jak ciotka swoją córkę,
Tak mnie mama wydać musi!

To zasp śnieżnych są następstwa
(Pewnem to, jak za grosz bułka)
Czego też i Tobie życzy
Kazia, Twoja przyjaciółka.

Chat-Noir.

Ostatnie wiadomości.

Komitet reduty prasy ogłosił, że damy na tej reducie mają się zjawiać z głową bez maski, ale muszą mieć koniecznie na sobie suknię balową. O bieliźnie i bucikach niema wzmianki — po za suknią balową może więc być dama całkiem... boso.

Botanika.

W pewnem towarzystwie opowiada jedna młoda mężatka historyę swej pierwszej i jedynej dotąd kłótni małżeńskiej. „Tak, tak — kończy swe opowiadanie — mój mąż zaś na pamiątkę tego dnia i przeztrogę zasadził przed pałacem topolę“.

— Co myślisz? — zwraca się pani domu do swego męża — jakąbyśmy już mogli mieć wspaniałą aleję?!

Pechowaty.

— I czegóż ty jeszcze chcesz, mój przyjacielu? Jesteś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!

— Tak, o tyle, o ile, bo w miłości nie mam szczęścia.

— Jakto?

— Pomyśl sobie tylko. Pierwszą kochankę zabrała mi śmierć, druga wstąpiła do klasztoru, a trzecia, ta obecna, została — moją żoną!

W kąpielach.

— I mąż zostawia panią samą tak spokojnie?

— Naturalnie. On dobrze wie o tem, że ja nigdy długo sama nie jestem.

Dobry sposób.

A. I jakże się pozbyłeś tej baletnicy?

B. Poprostu ożeniłem się z nią. Teraz ja mam spokój a ona maltretuje innego.

Konkury.

On. Panno Zofio! Kocham Panią! Chcesz zostać moją żoną?

Ona. A czy zostawisz mi pan wszelką swobodę?

On. Zawsze i wszędzie!

Ona. A pozwolisz mojej matce przy nas mieszkać?

On. Z przyjemnością!

Ona. A nie będziesz żądał klucza od bramy?

On. Nie! Przysięgam!...

Ona. A przestaniesz chodzić do kawiarni i będziesz przychodził punktualnie na kolacyę do domu?

On. Punktualnie na minutę!

Ona. W takim razie żałuję mocno... ale za takiego safandułę wyjść nie mogę...

KANDYDACI.

LEO.

Lubi zmieniać zasady
I brać lepsze posady,
Więc narodzie mój blady*)
Daruj wszystkie mu wady,
Bo by zeszedł na dziady
Bez poselskiej posady.

ULANOWSKI.

Mąż uczony — ani słowa,
Że uczciwy — nikt nie przeczy,
W polityce — słaba głowa,
Zamiast działać — ciągle skrzeczy.
A i to błąd jest niemały,
Że jest zbyt zarozumiały.

BANDROWSKI.

Chytro mudro pcha się w górę.
Lubi ludziom leźć za skórę;
W sercu piołun, w ustach miodek —
Wszędzie wlezie, gdzie jest smrodek;
Kręci, wącha, intryguje,
Nie zdradzi się z tem, co czuje.

FEDOROWICZ.

Mądrością nie zmazan
Lecz do „pracy“ skory:
Jeden Hirsz Landau
„Robił“ tak wybory.

Zkąd wyszedł na posła
Bóg to raczy wiedzieć,
Lecz może być w sejmie,
Bo ma na czem siedzieć.

FIERICH.

I poważny i uczciwy
Więc go szkoda w takiem gronie
A że „pływać“ się nie uczył,
Bez wątpienia też utonie.
Po co? na co? *cui bono?*
Profesorze mój kochany,
Dla stańczyków nieboszczyków
Pragniesz z ognia brać kasztany.

*) Ten „blady“ jest przeciwstawieniem narodu „czerwonego“.

KS. KRUPIŃSKI.

I ty, zacny mój księżulu,
Też się dałeś wziąć na kawał, —
Niechby sobie pan Jaworski,
A nie ty z Fierichem, stawał.
Nawarzyli — niechaj piją.
Szanuj swą kapłańską delię,
Po co ty masz za ich winy
Głowę kłaść pod ewangelię.

SARE.

Kandyduje dla Dattnera
W poświęceniu wielce wzniosłem,
Aby tamten z Izby handlu
Mógł sejmowym zostać posłem.

DATTNER.

Potrzebował zrobić grosze
Na niszczeniu polskich lasów
Ten wybitny mąż zasługi
Naszych czasów.
Potrzebuje teraz znowu
Zostać posłem. Co to szkodzi?
Czy on jeden swą osobą
Sejm zasmrodzi?

STATOWSKI.

Co za jeden? skąd się bierze?
Nie wiem, ludu mój kochany.
Ale sądzę, że w policyi
Musi być zameldowany.

ANCZYC.

W nic się nigdy nie mieszał
Siedział sobie cicho,
Na starość kandydować
Skusiło go licho.
Zbieraj dalej monetę,
Co dla ciebie Bogiem,
Wszak dla niej nie zostałeś
Ongi pedagogiem,
Wszak dla niej porzuciłeś
Zawód naukowy, —
Więc się trzymaj maksymy:
Grosz lepszy od głowy.
Po co ci sejmowanie
Polityczne sztuki?
Chyba, że ci marszałek
Da sejmowe druki.

Wiec kupców w sprawie bojkotu.

(Własne sprawozdanie *Bociana*).

Prezes. A więc radźmy o bojkocie.

I kupiec. Przedewszystkiem proszę drzwi szczelnie pozamykać i nie zapomnieć o zatkaniu dziurek od klucza.

Prezes. Ostrożność tę już zarządziłem.

I kupiec. W takim razie co tu dużo gadać? Bez towarów pruskich się nie obejdziemy — więc stawiam wniosek przejścia do porządku dziennego nad bojkotem (huczne brawo).

II kupiec. Zgadzam się najzupełniej z przedmówcą. Ale idzie o to, abyśmy coś przecie na oko zrobili: więc przedewszystkiem powinniśmy wszystkie artykuły pruskie nazywać francuskiemi (brawo). Następnie możemy oświadczyć pruskim fabrykantom, że zerwiemy z nimi stosunki, chyba, że nam coś opuszczą na cenach lub dadzą lepsze warunki kredytowe (huczne brawo). Spróbować nie zaszkodzi, może się uda. Dalej możemy na niektórych przedmiotach przylepiać kartki: wyrób krajowy (brawo). Możemy także w sklepach naszych na widocznych miejscach umieścić napisy: *Precz z towarem pruskim!* (oklaski). Dalej możemy poradzić fabrykantom, aby na niektórych artykułach dawali godła narodowe, portrety Kościuszki, Mickiewicza...

Głos. To sze już robi. Jo mom takie pruskie zygarki.

Głos 2. Ja mam ołówki z napisem: Mickiewitsch.

Głos 3. A ja zapałki niemieckie z moją firmą.

II kupiec. A w gazetach ogłosimy, że użyjemy wszelkich środków, aby Prusak centa nie zarobił (oklaski).

Prezes. Poddaję wnioski pod głosowanie. Przyjęto.

III kupiec (do pierwszego i drugiego). Chodźmy do Hawełki — zafunduję wam Goldwasseru gdańskiego — ma bestya oryginalny. Zakąsimy hamburskim homarem.

II kupiec. A ja, że nam się tak dobrze udało postawię flachę reńskiego.

Zawczesne.

Bankier przyjmując nową buchalterkę:

— Jeszcze jedno, proszę pani. Stanowczo zabraniam, aby pani z moimi urzędnikami żadnych miłostek nie zawiązywała.

— O to może pan być najzupełniej spokojnym. Wobec tak nędznych gaży, jakie pan płaci, jest to stanowczo wykluczonem.

* Słowo honoru.

(Podsłuchane u Michalika).

A. Pożycz mi guldena!
B. Niestety! Sam nie mam monety!
A. Słowo honoru?
B. Słowo honoru!
A. Zwyczajne, czy uroczyste?
B. Zwyczajne!
A. W takim razie nie bądź świnią! Masz więc pożycz!
B. Dobrze! Ale pierwszego musisz mi koniecznie oddać!
A. Napewno!
B. Słowo honoru?
A. Słowo honoru!
B. Zwyczajne, czy uroczyste?
A. Do pierwszego!... Hm... zwyczajne!...
B. W takim razie naprawdę nie mam pieniędzy!
A. Słowo honoru?
B. Słowo honoru! Uroczyste!
A. Świnia z ciebie!

* Między przyjaciółkami.

Dwie przyjaciółki, młode mężatki, schodzą się i naturalnie rozprawiają o zaletach i wadach swych mężów. Jedna z nich, żona uczonego, użala się na swego męża.

— Bo musisz wiedzieć, droga Maniu! — skarży się biedaczka. — Mój mąż ciągle czyta! Jeszczebym mu wybaczyła, że czyta we dnie, siedząc przy stole, ale on także czyta, gdy leży na otomanie, a co najgorsze, nawet w łóżku czyta, aż nie zaśnie...

* Biedna matka.

— Mówię pani, kochana pani Antoniowa — rzecze pani Wojciechowa, uczciwa żona, uczciwego majstra szewskiego — z temi córkami, to skaranie boskie! Nic ich ustrzedz nijak nie można, ani przypilnować... Moja Zośka, zna ją pani Antoniowa, co to za skromne i dobrze wychowane dziecko, jeszcze do niedawna nawet wierzyła w bociana... Bo ja ją skromnie wychowywałam, tak, że się biedaczka ogromnie nawet tego ptoka bała... Tu niedawno była moja Zośka na Półwsiu zwierzynieckiem, nad Wisłą, i taki bocian szedł łąką... Moje biedactwo się tak zlękło, że poprosiła jakiegoś żołnierza, który obok przechodził, żeby ją obronił przed tą przeklętą bestyją... A teraz... — biedna pani Wojciechowa z żałości dalej mówić nie mogła, bo łzy ją dusiły...

— No i co, no i co? — dopytywała się pani Antoniowa ciekawie.

— A teraz — jęczała biedna matka — żałuję, że byłam taka głupia i nie przestrzegłam raczej mojej Zośki przed żołnierzem, jak przed bocianem...

To zależy...

A.: Ileż też potrzebujesz rocznie na twoje toalety?

B.: — To zależy, moja droga, od mody. Czasem jednego, a czasem i dwu kochanków.

Błąd.

Rzecz dzieje się w arystokratycznym, żeńskim pensyonacie. Mnóstwo panien, w wieku od 15 — 19 lat uczęszczało do niego, by korzystać ze światłych nauk. A siły nauczycielskie były tęgie, można więc było liczyć na pomyślne rezultaty.

Szczególnie wymagającym był nauczyciel języka francuskiego, p. Aimable, którego klasyfikacyi uczennice bardzo się obawiały. W zadaniach ich piśmiennych znajdował zawsze co najmniej po pięć, sześć grubych błędów ortograficznych.

Tylko jedna z uczennic, Jadzia, piękna 17-letnia blondynka otrzymywała zawsze dobrą notę, czem wzbudziła zazdrość u swych koleżanek.

— Czemu on zawsze ciebie wyróżnia? — zapytała ją raz jej zaufana przyjaciółka, hrabianka Iza, — czyś ty nigdy żadnego błędu nie popełniła?

— Jeden jedyny raz — odpowiada prędko Jadzia — i od tego czasu jest on tak względnym dla mnie.

Niepocieszona wdowa.

— Serdecznie z panią współczuję w tem ciężkiem zmartwieniu. Stracić takiego męża, jak nieboszczyk!

— Tak, tak! Jestem niepocieszoną. — Człowiek wie, co stracił, ale nigdy nie wie co dostanie!

Monolog.

Moja mama udziela mi ustawicznie swych rad, jak mam mego męża zadowolnić. Ależ ona widocznie nie wie o tem, że przyjaciele domu są o wiele bardziej od mężów wymagającymi, a ci nie mają mi nic do zarzucenia.



Kiedy u nas tęga zima,
I we futrach chodzą ludzie,
Gdy o wiosny pięknej przyjściu
Marzą wszyscy jak o cudzie.

Nad brzegami Adryatyku
W blasku jaskrawego słońca,
Młodzi sobie wciąż flirtują
Bez początku i bez końca.

Lecz, chociaż są na *Południu*,
Pod miłości czarów mocy,
Lepiej im jest w pokoiku
Po północy, po północy!..



Przy fechtunku, rzecz wiadoma,
I tu racyę każdy przyzna
Że przewagę nad płcią słabą
Ma, i będzie miał — mężczyzna.

Znam ja jednak pojedynek,
Gdzie się walczy inną bronią,
Gdzie najsłodsza jest nagroda,
Gdy się z wiarą walczy o nią!

I niech robi nam kobieta
Jaką tylko chce figurę,
Gdy mężczyzna dzielnie walczy,
To uzyska zawsze — górę.



On całuje, on ją ściska,
Ona wzdycha, a on sapie,
Tak to miłość się zaczyna
Oczywiście — na kanapie.

Tak kochają się oboje
Ta całuje — ten ją ściska
No — a trzeci akt miłości
Oczywiście jest — kołyska.



W ZIELONYM GAIKU.

W zielonym gaiku
Ale — na reducie
Dwoje młodych śpiewa
Sobie w tęsknej nucie.

„Czy mnie kochasz“ — „kocham“
Któż to nie pamięta?
Jak to się zwodziło
Na balu dziewczęta?

W zielonym gaiku
Echo niesie śpiewkę.
Od panienki z miasta
Wolę wiejską dziewkę!...



Siedzi sobie jeden, druga sobie stoi
Może to są narzeczeni
Ona jego bardzo kocha,
A on ją — bardzo ceni.

Lecz ciekawa rzecz nareście
O tem nie chcę mówić dalej.
Dzisiaj oni się już znają,
Lecz, gdzie oni się poznali?



Maluje panna chłopaka,
Zabawa to nie w złym tonie,
Panna coraz to blednie,
Chłopak co raz to płonie.

Panna maluje chłopaka,
Tak to się bawią burżuje.
Co do mnie, jestem ja pewny,
Że i on jej coś zmaluje.



Siedzi sobie i duma
Ostatniej nocy wspomnienia,
I w chwilach rzadkiej szczerości
Sama swą wartość ocenia.

I wtedy — myśląc o wszystkiem
Zaćmiewa oko jej łezka,
Ach! jakżeż teraz żałuje,
Że zamiast chłopca — ma pieska.



Przyjemnie to na werandzie
Zjeść objad wraz z swoją lubą,
Podziwiać pełną jej talię
I jej łydeczkę tak grubą.

A kiedy noc świat pokryje,
Uczucie owłada wieszcze,
Przyjemnie jest na werandzie,
W pokoju przyjemniej jeszcze.

15 LUTEGO W REDAKCYI N. REFORMY.

(Krotochwila w 1 akcie).

Dobosz. Jest tam który?
(Wpada Maciek ze Sroką).
Migiem chłopy
Lećcie wołać mi Konopy!
(Konopa wpada zadyszany).
Konopa. Co takiego? co się stało?
Dobosz. Cielę oknem wyleciało.
Konopa. Wciąż żartowniś! O co chodzi?
Dobosz. Nic nie szkodzi, niech pan smrodzi.
Konopa. Trzymają się żarty pana.
Dobosz. Nie, Konopo ukochana, —
Ważne mam ci dać zlecenie.
Konopa. Słucham — w ucho się zamienię.
Dobosz. Dość mi Lea — słyszysz Wasze?
Nie dam sobie wciąż pluć w kaszę.
Ty w dzienniku go popierasz
Codzień tyłek mu ucierasz...
No i cieszysz się zapłatą,
Ale ja mam g... za to.
Nie chce nawet mnie do kata!
Postawić na kandydata.
Dość już tego! Od tej chwili
Będziem z niego drwili, kpili...
Zbyt o sobie myśli wiele,
Że na naszem stoi czele...
Niech wie drużba ten kahalny,
Że on nie jest nietykalny.
Słyszysz Wasze?
Konopa. Słyszę panie,
Lecz drżę na myśl, co się stanie?
To jest... dla mnie... niepojęte...
Gdzież zasady nasze święte?
Dobosz. Tylko proszę cię bez blagi.
Przedtem miałeś dość odwagi
Zrzec się zasad w jedną chwilę,
Któreś głosił przez lat tyle.
Konopa (z mocą). Nie, nie mogę, wstydem płonę...
Dobosz. Posłuchanie więc skończone.
Od pierwszego zwalniam pana...
Konopa. Łaski! padam na kolana
Zrobię wszystko, co pan każesz.
Dobosz. Posłuszeństwem winę mażesz.
(po chwili)
Ale, panie delegacie,
Jakiś kiepski zamek macie
(otwiera okno)
Narobiłeś tu zapachu...
Konopa. To ze strachu, to ze strachu.
(Zasłona spada).

* Facecye autentyczne.

Doktór Zefiryn S., stary kawaler, mimo sześciu krzyżyków, które z godnością na swych plecach dźwiga, bardzo chętnie poluje jeszcze za dziewuszkami, lecz, jak znajomi jego zapewniają, zupełnie platonicznie i... nieszkodliwie. Mimo to doktór chce uchodzić w opinii za srogiego donżuana, który dla płci słabej jest szczególnie niebezpiecznym. Niedawno temu siedzi nasz doktór wieczorem przy „bombce“ u Wentzla i był czegoś w nieszczególnym humorze.

— Cóż to doktorowi się stało? — pytają znajomi. — Może która zdradziła?

— To nie! — rzecze doktór. — Ale tam do kroćset! Wszak dzisiaj pierwszy! Nie pojmujecie jeszcze? ...Musiałem dzisiaj zapłacić 45 koron alimentów!...

— Aha! Rozumiem! — rzecze radca P. z złośliwym uśmiechem. — Trzy razy po 15 koron!

— Ależ gdzietam! — krzyczy doktór z pasyą. — *Piętnaście razy po trzy korony!...*

Optymistka.

— A jakżesz tam prosze pani z czynszem? Kiedyż go wreszcie dostanę?

— Niechże pan będzie jeszcze trochę cierpliwym. Co dzień oczekuję pieniędzy.

— A od kogo?

— Tego sama jeszcze nie wiem!

PIELGRZYMKA I JEJ SKUTKI.

Potomstwo mieć w małżeństwie
Jest — zda się — rzeczą lekką...
O nie! nie!... Dwa małżeństwa
Mieszkały raz pod Mekką.

Ben Nurad i Fatyma
Pobrani już rok trzeci
Pomimo usiłowań
Nie mieli dotąd dzieci.

Ben Jussuff i Safira
To była druga para,
Co również się daremnie
O spadkobierców stara

By zjednać łaskę Niebios
Nie było już sposobu:
Pielgrzymkę chyba odbyć
Do Mahometa grobu.

I obaj wierząc święcie
W zabobon i przesądy
Zabrali swoje żony
I wsiedli na wielbłądy.

Ben Nurad i Fatyma
Na pierwszym pojechali
Ben Jussuff i Safira
Za niemi trochę dalej.

Lecz w drodze noc zapadła
Ściemniały lica nieba,
Na nocleg gdzieś w gospodzie
Pielgrzymom stanąć trzeba.

Ben Nurad z swą Fatymą
Pokoik jeden bierze,
Ben Jussuff i Safira
W sąsiednim są numerze.

Lecz małżonkowie obaj
Pohulać chcą przez chwilę
Do miasta zatem poszli
Na opium i nordżile.

Gdy w nocy w tym zajeździe
Zostały same damy
Safira rzecze Fatmie:
„My figla im spłatamy!!...

Mężowie późno przyjdą
To jak dwa a dwa cztery
Tymczasem — my po cichu
Zamieńmy swe kwatery!“

Tak stało się w istocie!
Przez opium odurzony
Ben Nurad się umizgał
Do przyjaciela żony.

Ben Jussuff bogobojny
Podobnie wśród ciemności
Małżonce towarzysza
Hołd złożył swej miłości.

Gdy jeszcze dwóch przyjaciół
Sen w swojej mocy trzyma
Do mężów swych wróciły
Safira i Fatyma.

Nazajutrz — o potomstwo
Proszono się Proroka,
Lecz, co to znaczy wiara
Gorąca i głęboka!

Pobłogosławił Allah
W kwartały trzy akurat:
Miał synów równocześnie
Ben Jussuff i Ben Nurad.

Chat-Noir.



Na cztery ręce.

Była to pora robienia toalety. Garderobiana opuściła pokój, otrzymawszy rozkaz: „Julciu, zadzwonię, jeżeli cię będę potrzebywała, teraz możesz odejść“.

Między wysokiem, naprzód pochylonem lustrem, a długim stołem, przykrytym przeźroczystym muślinem, przez który przebijała różowa kapa, jak ciało przez ażurową koszulkę — zrzuca hrabina Wanda ze siebie szlafroczek. Po szlafroczku spada na kobierzec staniczek, późniéj sznurówka, a wreszcie i mocno zmięta, batystowa — koszulka. Pochylająo się nad ustawionymi na umywalni, herbami ozdobionymi flakonikami, była hrabina Wanda w swym zamkniętym buduarze tak nagą, jak Hamadryada, gdy kładła nóżkę do źródlanej wody, lub jak marmurowe posągi w niektórych książęcych parkach. W rzeczywistości była nawet więcej nagą, gdyż zatrzymała na nóżkach czarne pończoszki, które sięgając znacznie powyżej kolan, mocno naciągnięte, wyglądały na różowej karnacyi ciała jak nogi z czarnego jaspisu.

Byłoby to bardzo nieprawdopodobnem, gdyby w takiej chwili nie miał ktoś drzwi otworzyć. I rzeczywiście drzwi się otworzyły. Przestraszona hrabina krzyknęła. W każdym razie ten, który teraz wszedł, musiał mieć pewne prawo do tak nagłego zjawienia się. I nie było to po raz pierwszy, że ten — mąż czy kochanek — zobaczył hrabinę Wandę, tak, jak obecnie, jak nimfę leśną, lub jak posąg Wenery. W każdym razie była to z jego strony impertynencya. Mógł przecież zapukać do drzwi, lub zakaszleć dyskretnie. Ona miałaby wówczas czas zarzucić coś na siebie, szlafroczek, spodniczkę, wreszcie koszulkę, choćby i trochę przeźroczystą nawet koszulkę, zawsze lepiej, niż tak jak teraz — nic. On jednak wpadł nagle jak bomba.

— Panie! co pan sobie myślisz? Wyjdziesz pan natychmiast?! I czerwona na całem ciele, w strachu, który ją reszty przytomności pozbawiał, biegała po całym pokoju, chcąc się gdzieś ukryć. Była tak szczerze nieprzytomną, że nie pomyślała o tem, by podnieść leżące na ziemi części garderoby i niemi się bodaj jako tako osłonić. Są bowiem chwile, w których się o najprostszych środkach zapomina. W kącie, koło wielkiego lustra — lecz nie za lustrem — starała się swemi maleńkiemi rączkami zasłonić swe tak nagle odkryte wdzięki. Ach! jak pracowitemi były teraz te biedne rączęta! Zakryły jedną pierś, to druga była widoczną: Przesuwały się ustawicznie od góry do dołu, od dołu do góry, chciały być wszędzie, a — nigdzie nie były. On, ten mąż czy kochanek — spoglądał bez przerwy, z uśmiechem na to drogie nagie zjawisko. Zdawało się, że znajdował pewną przyjemność w jej niespokojnem tu i ówdzie bieganiu, w jej drżących, nerwowo naprzemian zamykanych i otwieranych paluszkach. Lecz widocznie żal mu się zrobiło, po jakimś czasie przykrej sytuacyi hrabiny, gdyż rzekł z litością:

— Dwa małe koszyczki nie wystarczą by pomieścić wszystkie kwiatki jednej wielkiej łąki, ani też dwie małe tarcze, aby zakryć wszystkie gwiazdy. Gdyby te biedne rączyny się zapracowały, nie potrafią zakryć wszystkiego same, chyba, że im pomogą — moje!

Przynajmniej szczera.

Ona: Moja przyjaciółka Ella powiedziała mi, że trzeba się pana strzedz, bo pan masz być człowiek niebezpieczny!

On: Tylko jak mnie kto drażni, baronowo.

Ona: Czyż ja pana drażnię?

* Nieporozumienie.

I-szy wieśniak (czytając gazetkę chłopską): Cosik ci tu pisom o jakiejś koncentracyji! Co to jest takiego? Nie wis ty?

II-gi wieśniak: Nie wiem ci pewnikiem, ale musi ci to być jakiś *stućny nawóz...*

Z ROZMÓWEK SALONOWYCH.

Pan Artur, chociaż człowiek
Nie taki bardzo młody
Jest za to elegantem
Jak mówią „pierwszej mody“.

Więc chociaż ma łysinę
I czerni wąs starannie
Podoba się zarówno
Mężatce jak i pannie.

Raz siedział w późny wieczór
W zacisznym buduarze
I miłość swą oświadczał
Uroczej pani Klarze.

A pani głównie ceni
Gdy kto się nosi modnie
Na przykład — ot! pan Artur
Ma eleganckie spodnie.

A stary salonowiec
Zawołał z galanteryą:
Ach! moja piękna pani
Czy mówisz to na seryo?

Ofiarę jak największą,
Poniosę chętnie dla niej,
I to co chwalisz — mogę
Dziś u stóp złożyć pani!“

Chat-Noir.

* Echa karnawałowe.

Na balu w pewnym krakowskim klubie urządzono oryginalną figurę kotylionową: oto rozstawiono na sali kilkanaście tekturowych budek, w każdej z nich umieszczony został jeden danser, niewidziany przez tańczące damy — panie zaś, biorące udział w tej figurze, chcąc wybrać sobie dansera, miały zapukać do pierwszej lepszej budki, pan zaś tam się znajdujący, miał obowiązek natychmiast wyjść i tańczyć z wzywającą go damą. W ten sposób miała i zabawa doznać pewnego ożywienia i dobór par tańczących pozostawiony został przypadkowi. Urocza panna Maryla — królowa ówczesnego wieczoru — z niezwykłą gracyą i dowcipem szukała sobie dansera: oto dochodzi do pierwszej z brzegu budki — a siedział tam piękny Kazio, który przedtem przy bufecie pilnie kosztował wszelakich alkoholi — i pukając, pyta swym najsłodszym głosikiem:

— Czy można wejść?

Któż jednak opisze zdumienie panny Maryli, gdy z wnętrza rozległ się przytłumiony bas pięknego Kazia:

— *Przepraszam! Zajęte!...*

Otaczający budkę panowie parsknęli wielkim śmiechem, a panna Maryla jak niepyszna musiała się schronić do garderoby. Kotyliona natychmiast przerwano, wszyscy obecni musieli wyjść z sali, którą przez pół godziny wietrzono... Pięknego Kazia nikt już tego wieczoru nie widział. Autentyczne...

NA POLICYI.

Przychodzi interesant
I prosi posłuchania
Gdyż pełną portmonetkę
Skradziono mu z mieszkania.

Komisarz na to mówi
„To awantura cała,
Lecz przedtem mi pan opisz
Jak ona wyglądała?“

Dokładnie nie pamiętam
Rzekł gość — „Jak pamięć sięga
Blondynka — zdaje mi się,
Przystojna dość i tęga!“

Chat-Noir.

Zamordowanie króla portugalskiego.

opisanie przez dzienniki czterech głównych partyj politycznych.

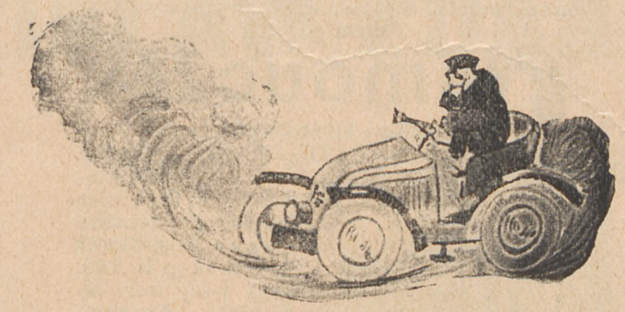
1. *Organ klerykalny*: Oto znowu wyszły na jaw straszne skutki moralnego upadku ludzi, wychowywanych w „naszych“ bezwyznaniowych szkołach! W okrutny sposób zamordowano króla i następcę tronu portugalskiego! Jak nam z najpewniejszego źródła donoszą, byli mordercy masonami i należeli do owego międzynarodowego związku, który zaprzysiągł zgubę Kościołowi i państwu. Wolnomularze pochwalają królobójstwo, a oprócz tego są oni główną przyczyną panującej obecnie strasznej drożyzny. Sympatyzują oni jawnie z rewolucyą i z tego powodu są za utrzymaniem przepisów zamykających nasze granice przed obcym bydłem. Chcą obalić istniejący porządek społeczny za pomocą najskuteczniejszego środka: wygłodzenia! Kiedyż wreszcie pytamy, ocknie się naród i zorganizuje się przeciw przeklętym masonom, mordującym królów i głodzącym ludność?!

2. *Organ liberalny*: Geniusz postępu głęboko zasmucony chyli swą głowę! Rewolucya znowu w czyn wprowadziła swoje zaśniedziałe hasła. Skrytobójcza dłoń skierowała mordercze ostrze przeciw najlepszemu z królów, który jechał w otwartym powozie w towarzystwie swej uroczej małżonki. Król i następca tronu natychmiast skonali. Skonstatował śmierć nasz rodak Dr. Kręgosłupski, ordynujący w Lizbonie między g. 3 — 5 po południu. Na ślad morderców dotychczas nie trafiono. Trzech z nich na miejscu zginęło z rąk rozjuszonego tłumu. Sumienie Europy, targane straszną boleścią, woła wielkim głosem: zemsty za tak straszny czyn!

3. *Organ antisemicki*: Okropna zbrodnia lizbońska znowu dowodzi, jak koniecznem jest połączenie się wszystkich Aryjczyków przeciw pladze żydowstwa. Jasnem jest, że morderstwa dokonali sami żydzi! Jeden z morderców wabi się Henryk! (może Hirsz! przyp. Red.) Teitelbaum i jak skonstatowaliśmy na policyi, bawił niedawno w Krakowie, gdzie na tandecie kupił starą pelerynę i skradziony wojskowości karabin Mauzera. Żydowskie pochodzenie innych członków bandy skonstatowano po wszystkich charakterystycznych cechach rasy żydowskiej. Chrześcijanie! Czyż trzeba silniejszych poszlak? Bracia! Łączcie się celem zwalczenia nienawistnego wroga! Kończymy okrzykiem: Kupujcie tylko u chrześcijan!

4. *Organ socyalistyczny*: Jakkolwiek w zupełności uznajemy motywa, które rewolucyonistów skłoniły do sprzątnięcia króla Carlosa, to jednak dla ostrożności musimy skonstatować, że nasza partya z czynem tym nic wspólnego nie miała. Albowiem jeden z morderców nazywał się Bura, był zeszłego roku kontrkandydatem naszego towarzysza Ignacego, ale sromotnie przepadł przy wyborach. Kandydował on bowiem na program chrześcijańsko-społeczny, miał listy polecające od Dra Luegera i ks. Rublarza a oprócz tego dostał telegraficznie błogosławieństwo papieskie. Mówią także, że jest on napędzonym jezuitą — zresztą niedawno zajmowaliśmy się tą sprawą w rubryce: „Z czarnego światka“. Po za tem zdefraudował on pieniądze stowarzyszenia zawodowego giserów, w którem przez pewien czas pełnił funkcye kasyera. Przygważdżamy ten fakt, aby przeciwnikom raz na zawsze odebrać możność kłamliwej obrony! Towarzysze! Abonujcie i rozszerzajcie nasze pismo!

Suum-cuique.



DOSŁOWNIE.

Dwie aktorki rozmawiały
A pro pos miłości
Ile która ma kochanków
Lub wyraźniej — gości.

Pierwsza z nich jest jak to mówią
Kobieta rasowa
Wzrost strzelisty, pierś wypukła
I klasyczna głowa.

Nadzwyczajnie mała miara
Nogi jak i ręki
Że milczeniem pominiemy
Bardziej skryte wdzięki.

Z owych wdzięków i powabów
Znało ją pół miasta,
Gdyż dla mężczyzn to istotnie
Uczynna niewiasta.

Druga była nie tak piękna
Szczuplejsza i bledsza,
Lecz, żeby nie miała wdzięku,
Tego myśleć nie trza.

Bo i ona miała także
Amatorów sporo
A do brzydkich, jak wiadomo
Chłopcy się nie biorą.

Czy to prawda? moja droga?
Rzecze pierwsza gruba,
Że na ciebie przyszła pono
Bardzo ciężka próba.

Narzeczony cię porzucił
Do dyabłów tysiąca!
To doprawdy mojem zdaniem
Jest krzywda krzycząca.

— Oj! to prawda! — mówi druga
W najwyższej goryczy,
Że krzycząca, a co gorsza
Że rok blisko krzyczy!...

Chat-Noir.

Wiele mówiące sprostowanie.

Dwie bardzo przystojne, młodziutkie, co najwięcej po 17 wiosen liczyć mogące panienki, stoją przed wystawą konfekcyi damskiej. Dwóch przechodzących młodych mężczyzn staje za niemi i jeden z nich mówi półgłosem do drugiego:

— Ciekawym czyby „*te*“ potrafiły umrzeć z miłości?

— Ale gdzieżtam — odzywa się jedna z owych panienek, odwracając się — przeciwnie my z niej żyjemy.

* Prawdziwa historya.

W kawiarni „Royal“ na Stradomiu, uczęszczanej wyłącznie przez naszych „kochanych“ współobywateli z Kaźmierza, gra kilku panów w narodową grę żydowską w karty, to jest w tak zwanego „klabryasza“. Jeden z grających, znany pan Kuba Rotkiś rozpoczyna partyę i jako „będący na ręku“ zagrywa asem dzwonkowym. Nagle od siedzącego obok niego „kibica“ dostaje głośnego policzka. Wszyscy się zrywają oburzeni z swych miejsc, tylko pan Kuba Rotkiś spokojnie się odwraca do napastnika i bez cienia urazy pyta:

— Ny! Co ti chcesz odemnie? Przecze widżałesz moje paszkidne karty! *Mugłem ja zagrywacz cosz innego?*

Niebezpieczne oddziaływanie.

Doktór: Ależ puls pani jest zupełnie normalny:
Pacyentka: Tak, teraz jak huzarów nie ma w mieście...

List znaleziony.

Kochany mój Plisiu!

Okrlopnie się nudzę odkąd mnie te lyki lwowskie wykurzyli z teatrlu. Udawalem trlochę socyalistę, ale i to mi się znudzilo. Puścila mnie tys w trlombe i Kocia któla tlucze sie po prlowincyi z Zelazoskim. Więc mi Kacpel porladzil ziebym zostal rledaktorlem. Wtrlynili mi ten kolosalnie glupi „Nasz Krlaj“ i będę go rledagować od pierlwszego. Abyś sie mogl polapać co to będzie, psepisuje ci kawalek prlospektu:

„Nasz Kraj (tak mi napisal jeden literlat) ma stać się krajem jawy, światła i krasy. Czytelnik znajdzie w nim schronienie przed szalbierstwem kabotynów po ityeznych i mydłków literackich, rozbrajające go z ołowiu zbanalizowanych lub zwyrodniałych zapatrywań, a odsłaniające mu sferę nowych szczerych wartości... Nowy tygodnik stać ma się łożyskiem współczesnej myśli twórczej, tłomaczem tęsknot gromadnych, żaglem chłonącym tchnienie ożywczych prądów i kultury życia“.

Nie myśl, mój kochany Plisiu, abym byl taki glupi i nie wiedzial, że ten prlospekt to okrlopna blaga. Pies zaplacze jak psecyta o „schrlonieniu rlozbrlajającem z olowiu“ lub o „zaglu chlonącym tchnienie“. Kazdy znowu zrlozumie ze jak „Krlaj“ będzie „lozyskiem myśli twórlczej“ to będzie w nim woda, — a to „odslanianie szczerlych warltości“, to trlochę zakrlawa na porlnoglafię. Ale jakem to czytal tom się, mój Plisiu, pirlszy rlaz po rloku rloześmiał. Więc sobie myślę że sie dobze ubawię będąc rledaktrlem tego schrlonienia, zagla i lozyska.

Mój Plisiu, napisz co do tego Krlaju — prlosę cię na stalego wspólprlacownika. Zarlobis sobie parlę korlon i spelnis dobrly ucynek. Bo ja się okrlutnie, okrlutnie nudzę.

Twój do grlobu

Tadzio.

---

* Zawsze kupiec.

Kalbfuss (do swojego krawca): Pan Brenner! Sprolonguj mi pan trochy moji spodni!...

---

* To gorzej!

A. Jak się masz? Co porabiasz?

B. Oj! Źle ze mną! Mam młodą żonkę, która mi niestety ciągle choruje!...

A. Pociesz się, przyjacielu, to nie jest jeszcze wielkie nieszczęście! Wystaw sobie: ja mam starą żonę, która niestety ciągle jest zdrową!...

Potrójna buchalterya.

Modniarka: Czy tym razem znów hrabiemu mam posłać rachunek?

Kokota: O nie, nie! Wypisz go pani trzy razy — potrzebuję pieniędzy!

Facecye autentyczne.

Do pewnego znanego w Krakowie składu fortepianów przychodzi niedawno temu jakiś bogaty szlachcic z Podola z córeczką i jej nauczycielem muzyki jako znawcą, aby kupić fortepian. Właściciel poleca wspaniały fortepian Steinwaya, który się też ogólnie spodobał. Pan nauczyciel usiadł odrazu do fortepianu, aby popróbować jego tonu — próba wypadła wspaniale.

— Jaka jest cena? — pyta szlachcic.

— 1700 guldenów! — mówi właściciel.

Potrójny okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi obecnych.

— To stanowczo za drogo! — rzecze nauczyciel muzyki, lecz w tej chwili poczuł silne kopnięcie nogą, którem stojący obok właściciel składu porozumiewawczo go poczęstował.

— To znaczy... tego... za drogo według naszych *lokalnych* pojęć! — zaczął kręcić nasz ekspert. — Bo w Ameryce naprzykład wcale taka cena nie jest wysoką... A Steinway to najlepsza marka... bezsprzecznie... cena zresztą jest zupełnie normalną...

Naturalnie interes przyszedł do skutku i szlachcic zapłacił żądaną sumę. Nasz pianista dyplomatycznie czekał cały tydzień na „dowód wdzięczności“ właściciela składu, bo przecież nikt tak bez powodu nie kopie, ale nadaremnie! Nikt się nie zgłaszał! Wreszcie było mu tego czekania za dużo i sam się udał do niedomyślnego kupca.

— Czem mogę panu służyć? — pyta właściciel wchodzącego, suchym, urzędowym tonem.

— Jakto? Nie poznaje mnie pan? Wszak byłem wówczas z tym panem, który kupił Steinweya! — mówi nauczyciel zdziwiony.

— Ach! prawda, prawda! Nie poznałem chwilowo! Czem mogę panu służyć? — pytał właściciel składu.

Nasz nauczyciel był w przymusowem położeniu — widział niedomyślność właściciela, musiał mu więc w jakiś sposób przypomnieć jego „zobowiązanie“.

— Pan mnie wówczas... tego... tak silnie... kopnąłeś w nogę!... — mówił zażenowany.

— Naprawdę? Nie zauważyłem wówczas! — mówił fortepianista. — Mocno pana przepraszam! Proszę mi wybaczyć!

To rzekłszy złożył nauczycielowi muzyki grzeczny ukłon...

— *Tableau!*

Międzynarodówka.

— Jako dziecko miałam angielską chorobę, mym wychowaniem zajął się francuz, od rodziców wyniosłam się po angielsku, teraz znajomym wydaje się jak gdybym była hiszpanką.

Zasada.

— Nie ubiegaj się za córką twej gospodyni, ona tak czy tak sama przyjdzie do twego pokoju, żeby posprzątać.

NEKROLOG.

Król najgrubszy Europy:
Kochał on kobiety płoche,
Kochał wino i muzykę
No — i własny naród trochę.

A choć naród swemu panu
Groził rewolucyą, wojną
Dobry król go kochał jednak,
Jak chłop kocha — krowę dojną.

Samo przez się rozumie,
Że chłop każdy to pamięta,
Że mu krowa mleko daje
A prócz mleka — i cielęta.

Gdy chłop głupi i łapczywy,
Nie oszczędza krowy swojej
Wnet wypróżni jej wymiona
Gdy ją w dzień i w nocy doi.

Wtedy nie dziw się następstwom,
Los swój znoś cierpliwie chłopie,
Kiedy bydlę rozjuszone
Zbodzie pana i pokopie!

Kiedy urwie się z obroży
I swobodę zyska ruchu
Pomijając respekt winny
Utkwi rogi w pańskim brzuchu.

Więc chodowcy nierozsądni!
Trzymajcie się tej przestrogi,
Że najgłupsza nawet krowa
Oprócz wymion ma i — rogi!

Bocian.

Nad morzem.

Ona: Nie pojmuję mój panie, skąd się panu wzięło mnie tak ciągle prześladować?

On: Ależ Mimi, u Drobnera w Krakowie nie byłaś nigdy taka nieprzystępna?

Ona: To być może, ale tu przyjechałam jedynie dla własnej przyjemności!

Nie odczuwa.

Stara babcia: Czytam tu właśnie w gazecie, że człowiek w lecie czuje się zwykle bardzo osamotniony i dlatego pragnie odmienną płeć mieć przy sobie... To szczególne, że ja tego wcale nie odczuwam!...



Przy czapce pierrotki
Dwa pióra ma pawie
I skacze i hula
W szalonej zabawie!

Aż wreście na balu
Znalazła frajera
I pryka starego
Okrutnie nabiera.

— No, powiedz sam stary,
Czy możem ja brzydka,
Patrz jaka figurka
I ramię i łydka.

Więc kup mi kolacyę,
Gdy jesteś koneser,
Ja sama dla ciebie
Obmyślę już deser...

A facet odpowie:
— Daremne dysputy,
Nie znosi deseru
Żołądek zepsuty...